Boże Narodzenie
w Łodzi
i w Wilmington
w stanie Delaware



Aleksandra Ziółkowska-Boehm

Część 1. Łódź.

Święta kościelne wyznaczały nasze życie. Na kilka tygodni wcześniej robiono porządki. Myto okna, zawieszano świeże, wykrochmalone firanki, białym papierem wykładano wszystkie półki w kredensie i szafach. W ostatni dzień pastowało się podłogi. Ten zapach kojarzy mi się dotąd z uroczystościami, ze świętami. Chyba najmilsze były święta Bożego Narodzenia. Ogród zazwyczaj tonął w śniegu. Kilka tygodni wcześniej pod dyrekcją Mamy z białych papierowych pasków robiliśmy gwia-

zdki na choinkę. Każdego roku dokupowaliśmy nowe bombki. Tatuś kilka dni przed świętami przynosił dużą choinkę, którą trzymał w komórce, wstawiając do wiadra z wodą. Ubieraliśmy ją w dzień przed Wigilią. Stała w pokoju, w którym spałam, zwanym przez nas pokojem stołowym. Pachniała tak intensywnie, że odurzona zapachem nie mogłam się rano obudzić.

Przed Bożym Narodzeniem przy pomocy Mamy, a potem sama, długi czas pisywałam listy do świętego Mikołaja. Prosiłam o zabawki i zawsze o małego niedźwiadka, o którym marzyłam całe wczesne dzieciństwo. List kładłam do skrzynki i zawsze następnego dnia znikał. Mama mówiła, że święty Mikołaj zabierał go nocą. Kilka tygodni przed świętami Rodzice kupowali mięso wieprzowe, szynkę, baleron i potem peklowali, trzymając w saletrze, soli i ziołach. Tatuś obwiązywał mięso równo sznurkiem i wędził. W ogrodzie ustawiał specjalną beczkę do wędzenia, wcześniej „dla zapachu" znosił z lasu gałęzie z jałowca. Uwędzone szynki i balerony wieszał w przylegającej do domu komórce. Wędliny zatem mieliśmy od Bożego Narodzenia do Wielkanocy. Na święta wielkanocne czynności wędzenia powtarzały się i powstawał kolejny zapas na kolejne tygodnie. Latem były głównie jaja, owoce i warzywa.

W przeddzień Wigilii Tatuś przynosił żywe karpie i zamrożonego sandacza. Karpie skupiały nas nad wanienką, w której pływały. W nocy jedne zasypiały, inne Mama musiała następnego dnia

sama zabić. Były to dramaty dla nas niemałe i odwiecznie związane ze świętami. Same przygotowania do wieczerzy wigilijnej trwały wiele godzin. Wszystkie czynności i zwyczaje były symboliczne i tradycyjne, miały niemal sakralny charakter. Już od wczesnych godzin rannych obowiązywały surowe reguły. Mama mówiła, że „Jaka Wigilia, taki cały rok". Wstawaliśmy rano, bo to zapowiadało, że cały rok będzie się z ochotą i raźnie wstawało do pracy i szkoły. Należało tego dnia wyeliminować to, co mogłoby zwiastować niepomyślny rok, a więc wszystkie prace trzeba było wykonywać ze starannością. Od rana niecierpliwie patrzyłam na Mamę przygotowującą kolację. Cały dzień zachowywaliśmy post i Mama przestrzegała nas, by się nie najeść do syta przed Wigilią, powinniśmy bowiem do niej zasiąść lekko podgłodzeni. Po południu kazała mi patrzeć w niebo w poszukiwaniu pierwszej gwiazdki. Miała to być gwiazda, która prowadziła Trzech Mędrców ze Wschodu do Stajenki Betlejemskiej. Tatuś wracał wcześniej do domu.



Do kolacji wkładałam najładniejszą sukienkę. Stół przykryty był białym, wykrochmalonym obrusem, na środku na talerzyku leżał opłatek, obok było sianko. Przed przystąpieniem do kolacji dzieliliśmy się opłatkiem. To właśnie on nadawał Wigilii jakiś nierzeczywisty, uniwersalny wymiar. Każdy z nas osobno podchodził do siebie i składał życzenia; trwało to dość długo. Nie zapomnę wzruszeń i wysiłku, by życzenia były osobiste i specjalne dla każdego. Potem Mama podawała pyszną zupę z suszonych grzybów, najlepiej z prawdziwków, z łazankami, kluseczkami pokrajanymi w „krawaciki". Kolejno jedliśmy, po trochu kosztując wszystkiego – kaszę jaglaną, usmażone na maśle i otoczone w jajku i bułeczce suszone grzyby z zupy, ryby pod różnymi postaciami: smażone karpie i sandacze, karp na słodko, śledzie panierowane w mące i smażone w oleju

konopnym, śledzie w oliwie, w śmietanie, rolmopsy. Była także specjalność wigilijna, tzw. makiełki (bułeczka maczana w mleku z nałożonym na wierzch farszem z bakalii, maku, rodzynek). Makiełki, jak mawiali Rodzice, dawały kolorowe sny. Na deser jedliśmy ciasta: babkę i moje ulubione makowce. Był także kompot zwany suszem, bo ugotowany z suszonych śliwek, jabłek, gruszek. Dań musiało być jedenaście lub trzynaście, zawsze nie do pary, i oczywiście wszystkie były postne.

Jak napisałam, podczas wieczerzy należało skosztować każdej z podawanych potraw, bo to świadczyło, iż głód nie będzie doskwierał w nadchodzącym roku, a obfitość różnych dań była zapowiedzią przyszłorocznych dobrodziejstw. Dopiero po wieczerzy obdarowywaliśmy się prezentami. Zawsze dostawałam książkę i zabawki. Kiedyś braciom Ojciec własnoręcznie wykonał z drewna duży samolot. Miał ruchome kółka i śmigło; po latach zaczęła schodzić z niego farba i Tatuś go czasami na nowo malował. Był tak trwały, że długo służył jeszcze małemu Tomkowi. Zapamiętałam szczególnie mebelki do domku dla lalek, które ustawiałam w rogu sypialni. Miałam kilka lalek, ale prawdziwie dużą i piękną, wymarzoną od dawna śpiącą lalę, ubraną w krakowski strój, dostałam dopiero mając trzynaście lat. Zachowałam ją do dziś. Gdy byłam w wieku szkolnym, na Gwiazdkę najczęściej dostawałam „odpowiednie do wieku" książki, długopisy i wieczne pióra.

Bawiąc się i słuchając kolęd, czekaliśmy prawie do północy i wszyscy szliśmy pieszo na Pasterkę do kaplicy sióstr salezjanek. Była bliżej niż parafialny kościół Dobrego Pasterza i można było znaleźć dla siebie miejsca siedzące. W czasie Pasterki jako pierwszą śpiewało się przepiękną kolędę, jedną z najstarszych, do której słowa w XVIII wieku napisał Franciszek Karpiński: „Bóg się rodzi". Popularnością dorównuje jej jedynie starsza o trzy stulecia, anonimowa kolęda „Anioł pasterzom mówił" i śpiewana na nutę poloneza „W żłobie leży, któż pobieży kolędować małemu". Koloryt polskich kolęd sprawił, że jako małej dziewczynce długo wydawało mi się, że Pan Jezus urodził się gdzieś w Polsce, w małej stajence na wsi. Pasterze zbudzeni przez aniołów i spieszący do szopy wydawali mi się polskimi parobkami. Boże Narodzenie zaś najbardziej polskim świętem, z grudniowym mrozem, kożuchami, butami i czapami. Byłam zawiedziona dowiedziawszy się, że Pan Jezus przyszedł na świat w dalekim Betlejem, najmniejszym z miast Judy.



Trzej Królowie

Kiedy jako dorosła osoba zobaczyłam to miasto, wydało mi się nadzwyczajne: zbudowane z białego i różowego kamienia, rozłożone na dwóch zboczach pokrytych winnicami, gaikami figowymi, migdałowymi, drzewami granatów i oliwek. Byłam bardzo przejęta, odwiedzając Bazylikę Narodzenia prowadzącą do Groty Narodzenia. Wzruszyłam się jednak dopiero, znajdując polskie akcenty w Palestynie, jak choćby: III i IV stację Drogi Krzyżowej w Jerozolimie, pomnik z płaskorzeźbami Matki Boskiej Częstochowskiej w Tyberiadzie na dziedzińcu kościoła św. Piotra Rybaka wzniesiony w 1945 roku przez żołnierzy 2. Korpusu, wizerunek polskiej Madonny w otoczeniu Mieszka I i Dąbrówki w sanktuarium Zwiastowania w Nazarecie.

Mała kaplica sióstr salezjanek brzmiała silnie głosami, wśród których szczególnie wyróżniał się melodyjny głos Mamy.

Wracałam senna i szybko kładłam się do łóżka, żeby pamiętać, co się śniło, bowiem wróżba była na nadchodzący styczeń. Sny od Wilii do Trzech Króli dawały wróżbę na cały rok. Mama także zwykła mówić, że jeżeli nie byliśmy posłuszni w dzień wigilijny, to takimi pozostaniemy cały rok. Starałam się jak mogłam, ale też wciąż czymś się irytowałam. Może dlatego, że dzień niósł tyle wrażeń i emocji.

Sylwestra spędzaliśmy w domu, nie czekaliśmy północy. W Nowy Rok szliśmy do kościoła, aby otrzymać „błogosławieństwo na cały rok". Później oczekiwaliśmy odwiedzin księdza po kolędzie, który modlił się z nami i zostawiał dla nas kolorowe obrazki. Te święte obrazki wkładałam do książeczki do nabożeństwa i mam je chyba wszystkie do dzisiaj.

Po Nowym Roku chodziliśmy na przedstawienia jasełek, które organizowano w kościele Dobrego Pasterza i bardzo starannie u ojców salezjanów na Wodnej. Postaci Matki Boskiej, świętego Józefa, Archanioła Gabriela, Heroda, Diabła wypełniały moją wyobraźnię w długie zimowe wieczory.

Lubiłam zimowe święta, bo wciąż jakby się przedłużały. Po Bożym Narodzeniu następowało święto Trzech Króli albo Objawienia Pańskiego, bo Chrystus po raz pierwszy ukazuje się wtedy światu. W kościele odbywała się procesja idąca trzy razy, bo Magowie też wracali inną drogą. W tradycji chrześcijańskiej

byli nazwani Królami, Mędrcami lub Magami. Chociaż nie wiemy dokładnie, kim byli, domyślamy się jednak, że byli uczonymi – zajmowali się zapewne astrologią i naukami tajemnymi. Gwiazda, którą ujrzeli, zgodnie z panującym przekonaniem, iż każdy człowiek posiada własną, była gwiazdą nowego władcy. Wyruszyli w daleką i niebezpieczną drogę, by oddać pokłon narodzonemu Królowi, hołd należny tylko monarchom. Gwiazda o niezwykłej jasności zaprowadziła ich do Betlejem, do pasterskiej szopy, gdzie u stóp Jezusa złożyli dary. Dary były symbolami: złoto – to atrybut władzy i panowania, kadzidło – symbol kapłaństwa, a mirra zapowiadała mękę i śmierć Chrystusa na krzyżu. Mirra to wonna żywica, której ludy Wschodu używają do balsamowania zwłok. Trzem Mędrcom nadano imiona: Kacper, Melchior i Baltazar. Po przyjściu z kościoła z mszy Mama kreśliła poświęconą kredą inicjały ich imion na zewnętrznych drzwiach oraz bieżący rok. Wiązało się to z przekonaniem, że znaki te mają chronić dom od nieszczęść.

Fragment książki „Ulica Żółwiego Strumienia”, Warszawa 2004, s. 52-57.



Norman Boehm, Aleksandra Ziółkowska-Boehm, Thomas Tomczyk, fot. arch. AZ-B.

Część 2. Wilmington.

Grudzień 2015 r.

Pobyt w Ameryce trochę zmienił mój Bożonarodzeniowy rytuał, głownie pod względem ilości dań. Mój mąż Amerykanin zwykle sam ubierał choinkę i salonik ozdabiał różnymi stroikami przywiezionymi z pobytów głównie w Anglii i Norwegii, mamy kilka także z Polski. Dawniej mieliśmy dużą choinkę (najchętniej

Douglas lub *Frasier Fir*, które nie gubią igieł), ale od kilku lat mamy żywą w doniczce, którą potem zasadzamy w ogrodzie. Wieczorem rozbrzmiewa muzyka kolęd z całego świata, oczywiście przywiozłam nagrania kolęd polskich. Norman czasami grał także kolędy na pianinie, ale nigdy nie nauczył się polskich. Mój syn, Tomek towarzyszy mi zawsze na święta, przylatując z najdalszych stron świata.

Wprowadziłam post w Dzień Wigilijny, choć protestanci tego zwyczaju nie mają. Pięknie przyjął się opłatek, który mi przysyła rodzina z Polski. Norman i wszyscy znajomi uważają, że to bardzo wzruszający zwyczaj. Oboje nie przepadamy za pierogami, nie przygotowuję wielu innych dań, które są tak bogato obecne na stołach w Polsce, podchodzę pod tym względem bardziej praktycznie: podaję tylko zupę i rybę. W moich stronach, w stanie Delaware, nie można kupić karpia, o którym Amerykanie mówią, że jest błotnistą, mało szlachetną rybą, więc od lat podaję łososia. Nawet gdy byliśmy w Polsce i miałam święta z rodziną po 18 latach przerwy, karp nie smakował Normanowi tak, jak np. sandacz. (mój mąż myśli, że pyszna panga jest polską rybą, nie prostowałam, że jest eksportowana z Chin). Nie podaję śledzia, który kupiony w słoiku nie bardzo nam smakuje. Mam przywiezione z Polski suszone grzyby i podaję zupę grzybową z kluseczkami, i ona zawsze wzbudza zachwyt wszystkich koneserów. Prezenty rozpakowujemy po kolacji. O północy idziemy na pasterkę.

Bardzo mi brakuje drugiego dnia świąt. Drzewa przed domem ubrane są światłami, które trzymamy kilka tygodni, nie jak wielu naszych sąsiadów, którzy zdejmują je zaraz po świętach.

Choinka pełna ozdób



Królewna Śnieżka i krasnoludki, fot. Roman Łyko.

Marta Paterak (Łańcut)

Zaczęło się to wtedy, kiedy postanowiłam, dla swoich kilkuletnich wnuków, udekorować bożonarodzeniową choinkę wszystkimi ozdobami, jakie zachowały się w mojej rodzinie. W taki sposób powstał ten rodzinny zbiór, którego najstarsze egzemplarze pochodzą z drugiej połowy XIX w.

Prezentowane rękodzieła są rzadką okazją do poznania utrwalonego w nich rzemiosła od strony warsztatowej. Ozdoby wykonywane były przez dorosłych i przez dzieci, są dowodem ich pomysłowości, wyczucia estetycznego oraz zręczności w posługiwaniu się igłą, nożyczkami czy pędzlem. Ale można w nich także spotkać odbicie modnych wówczas stylów artystycznych. Przede wszystkim jednak ozdoby są świadectwem wiary chrześcijańskiej wykonawców, którzy w miarę swoich możliwości i umiejętności, kontynuując rodzinne tradycje wigilijne w symbolicznych treściach zabawek choinkowych, starali się przez te przedmioty pogłębiać w swoich dzieciach przeżywanie misterium świąt Bożego Narodzenia.



Komplet ptaszków, fot. Roman Łyko.

Niezwykle cenny jest komplet czterech ptaszków z ligniny, pomalowanych farbami i ozdobionych prawdziwymi piórkami. Dostała go moja siostra w 1942 r. na swoje pierwsze święta Bożego Narodzenia; zabawki te wykonała stryjenka zgodnie z tradycją jej rodziny. Ukryte są w nich życzenia, aby dziewczynka wyrosła na osobę fizycznie i duchowo piękną, co symbolizuje figurka pawia, czujną i inteligentną, co uosabia kogut, opiekuńczą, miłosierną i wytrwałą, o czym świadczy figurka kury, a bocian symbolizuje dobre macierzyństwo. Chłopcy zgodnie ze zwyczajem otrzymywali choinkowe zabawki symbolizujące następujące cnoty: anioła – sprawiedliwość, lwa – męstwo, wołu – umiarkowanie, orła – roztropność.



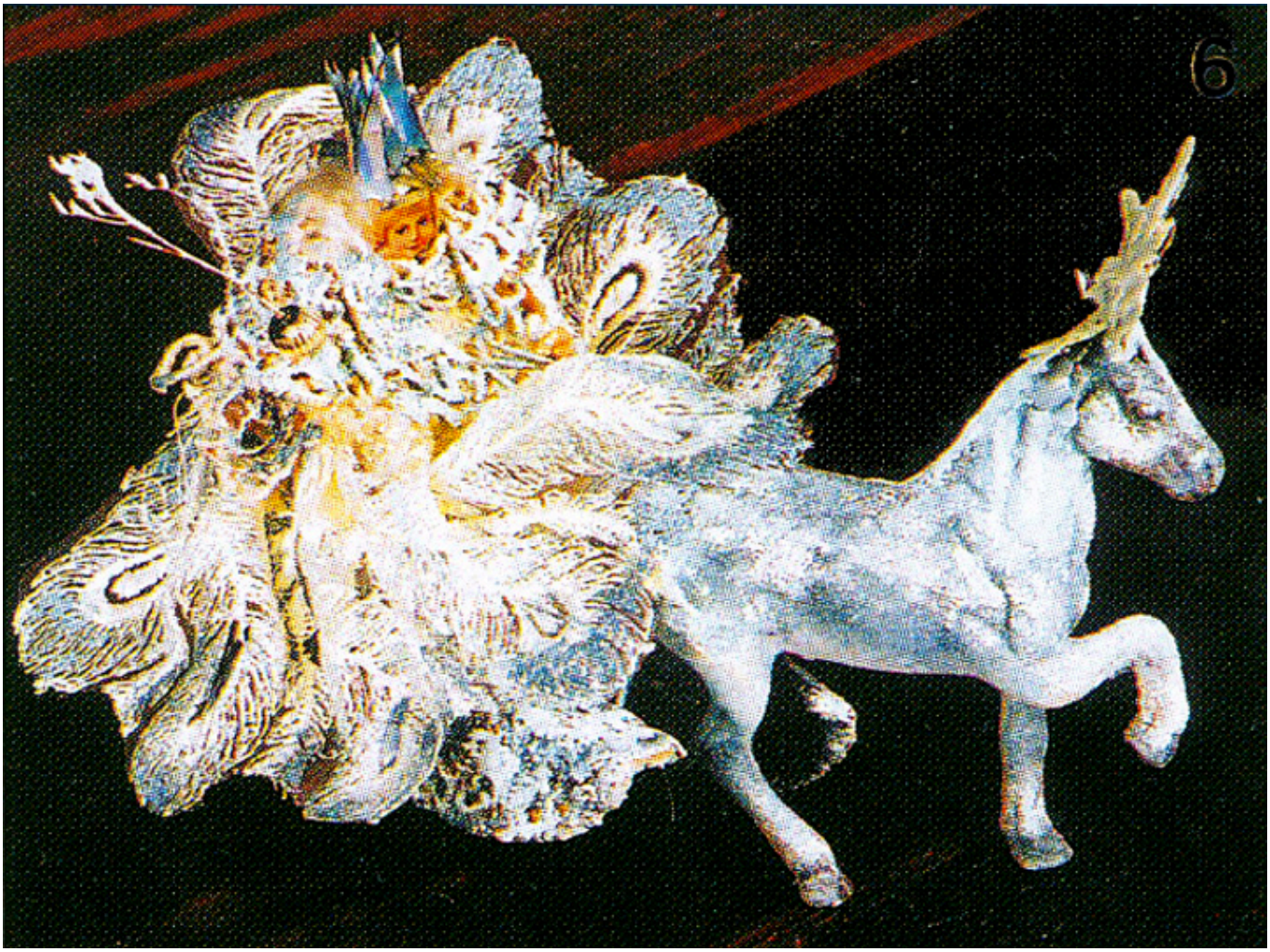
Różyczka św. Franciszka i Chińczyk, fot. Roman Łyko.

Zachowana po mojej babuni, pochodząca z końca XIX w. różyczka św. Franciszka, wzrusza symboliką i wymową. Jest to płócienny kwiat róży z biskwitową główką Czerwonego Kapturka w środku i łodyżką bez kolców złożoną z paciorków różańca, symbolizuje miłość wobec Boga i bliźnich. Wśród ozdób jest też tekturowy Święty Mikołaj w protestanckim wizerunku pielgrzyma – watowanym kaftanie i wysokich powyżej kolan butach, z dużym worem z haftowanego płótna, w którym chowano cukierki dla dzieci. Ta figurka jest pozostałością po byłych właścicielach naszego powojennego mieszkania w Jeleniej Górze.

Duchową radość z narodzenia Zbawiciela uosabiają choinkowe aniołki wykonane różnymi sposobami z rozmaitych materiałów – od niciano-szydełkowych, po słomiane i z kukurydzianych kaczanek. W moim zbiorze do najstarszych należą te, które wiesza no na szczycie choinki, pod gwiazdą, w zależności od wysokości drzewka. Jest to papierowy anioł, przedstawiony jako uskrzydlona główka, otoczona autentycznymi piórkami, z gwiazdką ze srebrnych drucików. Około 1900 r. powstała całopostaciowa grupa tańczących aniołków, wykonanych z kolorowych bibuł i haftowanego tiulu. Czynienie dobra i bezinteresowną pomoc bliźniemu utożsamiają także różne baśniowe postacie, jak: krasnoludki, Królewna Śnieżka, grający świerszcz i lato, Królowa Śniegu jako personifikacja zła. Nastrój karnawałowej zabawy wzmacniały inne figurki epoki *fin de siecle'u,* np. pajacyk, Japoneczka, dwaj Chińczycy oraz Carmen.



Lato i grający świerszcz, fot. Roman Łyko.



Królowa Śniegu, fot. Roman Łyko.

Wszystkie te choinkowe cacka są zrobione z różnych papierów i tkanin, przystrojone koronkami, haftami, cekinami i koralikami; przeciętna wysokość zabawek wynosi około 12 cm. Niektóre mają ludzkie twarze, malowane ręcznie lub przyklejone, a przed tym wycięte z ówcześnie drukowanych arkuszy. Lalki ubrane w szmaciane sukienki mają pod spodem bibułową bieliznę.

Z wielkim pietyzmem wieszana jest na naszej choince papierowa bańka-serduszko z atrybutami powstania styczniowego –

kotwicami i krzyżem, pochodząca z lat sześćdziesiątych XIX w.; jest to najstarsza zabawka z całego zbioru. Odzyskanie przez Polskę niepodległości w 1918 r. stało się wspaniałym tematem dla choinkowych zabawek. Z tego czasu pochodzi lalka Podolanka – tekturowa pół postać w regionalnym stroju z tkaniny, przystrojona wstążkami i koralami. Świąteczne drzewko zdobiły także płócienne rogatywki z futrzanymi otokami i prawdziwymi piórkami, konfederatka i dwie krakuski.



Krakus z 1831 r., fot. Roman Łyko.

Nie tak dawno mój sąsiad, pochodzący z rodziny o wielkich narodowych tradycjach, wyrzucił na śmietnik husarza, ostatnią zabawkę choinkową z domu jego dziadków, a zamiast świątecznej choinki udekorował zewnętrzną fasadę swojego domu kolorowymi, pulsującymi światełkami. Uważam, że polski żołnierz zawsze łączył się z najszlachetniejszymi uczuciami Polaków. Figurki polskich żołnierzy często wieszano na choinkach, aby przypominały dawną siłę i chwałę narodu. Aby podtrzymać tradycję, wykonałam do swojej kolekcji figurkę Krakusa z autentycznych elementów pochodzących z 1831 r.

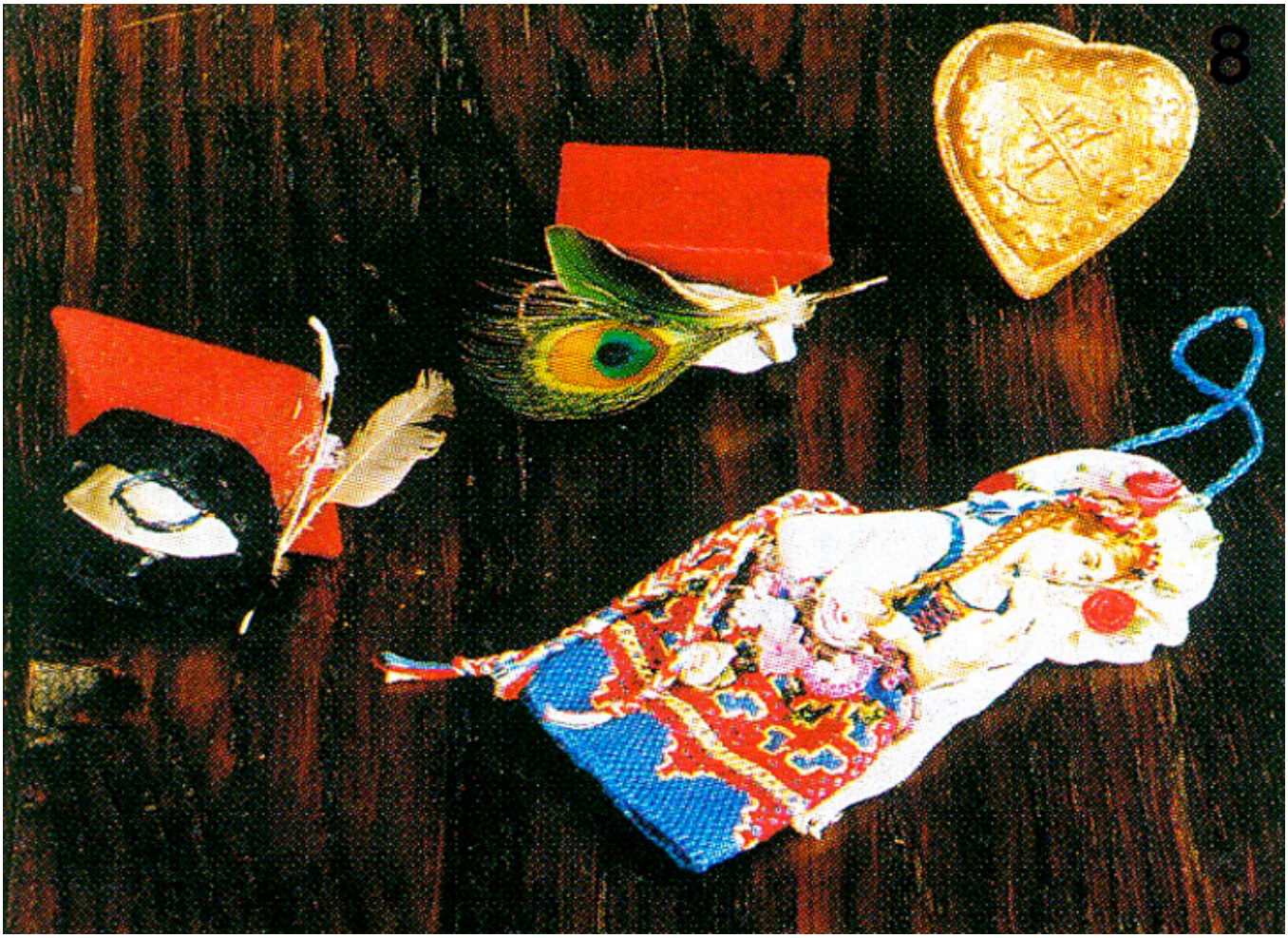
Wiele ozdób choinkowych, własnoręcznie robionych przez domowników w okresie adwentu, zaginęło bezpowrotnie na skutek różnych okoliczności, upływu czasu, przeprowadzek, warunków przechowywania i naturalnych procesów starzenia się materiałów. Stąd też powstała potrzeba szczególnej troski o gromadzenie i zabezpieczenie ostatnich zabawek oraz ozdób choinkowych w naszej rodzinie przed ich całkowitą destrukcją. Zniszczone zabawki i ozdoby starałam się ratować, przywracając im wartości artystyczne zgodnie z technologią wykonania, a tym samym przedłużając ich trwanie w dziedzictwie rodzinnym i ogólnokulturowym. Wydatnie pomagają mi w tym moi przyjaciele, konserwatorzy.



Tańczące aniołki, fot. Roman Łyko.



Tańcząca Carmen i wisiorki, fot. Roman Łyko.



Bańka z atrybutami powstania styczniowego, lalka Podolanka, czapki krakuska i konfederatka, fot. Roman Łyko.

Artykuł ukazał się w „Spotkaniach z Zabytkami”, grudzień 2002 r.

Boże Narodzenie w Nowym Jorku po wyjeździe z Polski w 1984 r.



Choinka przez Rockefeller Center w Nowym Jorku, grudzień 2017 r., fot. J. Sokołowska-Gwizdka.

Basha Maryańska *(Nowy Jork)*

Pamiętam jak dziś, mój przyjazd z dwuletnim wówczas synkiem do Nowego Jorku na zaproszenie Fundacji Kościuszkowskiej w 1984 roku. Mój syn ma dziś 35 lat.

W Nowym Jorku mieszkała od wielu lat moja mama, a na uniwersytecie w Bloomington, w stanie Indiana pracował od niedawna mój mąż jako *visiting professor.* Przyjechał również do Nowego Jorku na zaproszenie mamy mój świętej pamięci tata z Gdańska w odwiedziny. Mój brat również przebywał w USA jako pracownik naukowy na Uniwersytecie w Yale.

Cóż to było za wspaniale spotkanie przy wigilijnym stole u mamy w jej mieszkaniu na Queensie!

Po wielu latach spotkanie z mamą było dla mnie wielkim szczęściem, nie mówiąc już o szczęściu mamy, która po tak długim oczekiwaniu i wielu wysiłkach miała przy sobie całą rodzinę i swojego dwuletniego wnuka!

Mój wyjazd z Polski w tym czasie nie należał do łatwych. Załatwianie wyjazdu i przygotowywanie do opuszczenia kraju na długo, a może na zawsze – trwało i pochłaniało masę czasu i energii. Wyjechałam ze strasznego chaosu, w wielkiej niepewności co dalej.

Jednak wyjazd z Polski w tym czasie to oddzielna historia, którą kiedyś opiszę, a teraz skupię się na moich pierwszych wrażeniach z pobytu w Nowym Jorku.



Polska kaplica w Katedrze Świętego Patryka, fot. J. Sokołowska-Gwizdka.

Pojechaliśmy wszyscy do katedry Św. Patryka na piękną Bożonarodzeniową mszę i poszliśmy oglądać świetliste anioły przy Rockefeller Center. Modlitwa za ojczyznę, za naszą przyszłość i naszą wspólnotę pozostaną na zawsze w mojej pamięci. Modliłam się wówczas za tych, którzy pozostali w kraju, za ich bezpieczeństwo i za przetrwanie…

Mimo, że od tylu lat mieszkam w Nowym Jorku i z tym miastem związałam swoje życie, Polska wciąż jest mi bliska. Jako artysta malarz i kurator jestem obecna w kraju. Moja kolejna wizyta w Warszawie we wrześniu tego roku była sukcesem artystycznym. W Galerii SD Szucha 8 wystawiłam 30 swoich obrazów.

Moja praca artystyczna i kuratorska zwieńczona jest wieloma wystawami polskich artystów w Nowym Yorku, oraz ich promocją. Organizuję również sympozja i plenery na terenie całych Stanów Zjednoczonych dla międzynarodowej grupy artystów, wśród których coraz częściej na moje zaproszenie pojawiają się artyści z Polski. Dwa

razy w roku odbywają się spotkania, konferencje i plenery, które organizuję w Beacon, NY, gdzie mieszkam i pracuje w moim Bashasart Studio.

Ta wymiana artystyczna daje mi wielką satysfakcję i sprawia, że czuję się potrzebna po obu stronach oceanu.

Świąteczny Nowy Jork



Projekcja świateł na fasadzie domu Saks Fifth Avenue na przeciwko Rockefeller Center.



Wystawa sklepu Bergdorf-Goodman, 2017 r.



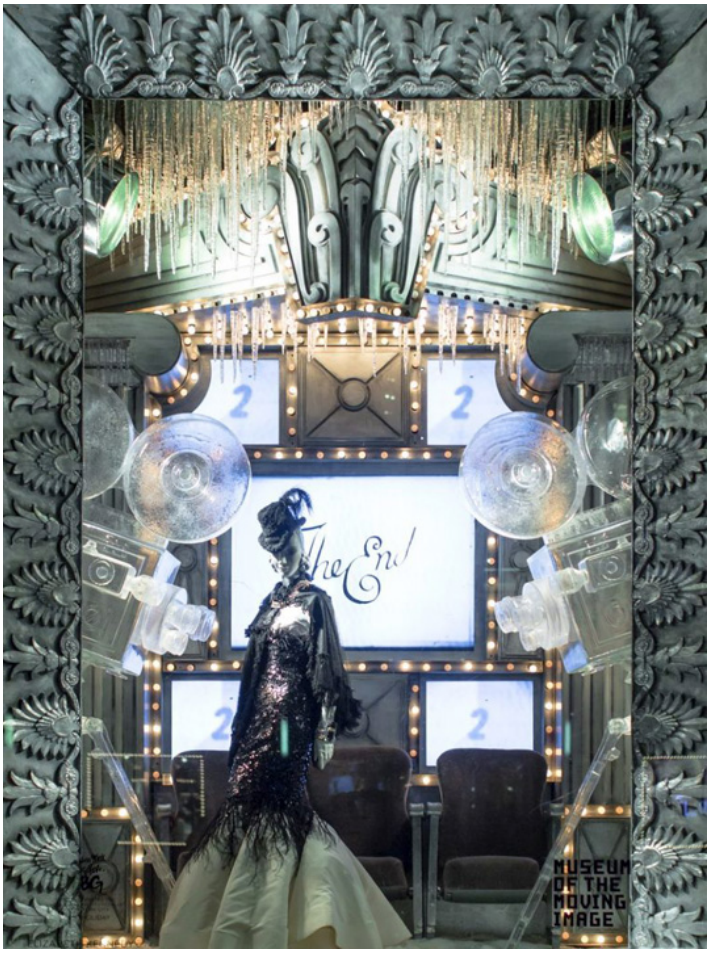
Wystawa sklepu Bergdorf-Goodman, 2017 r.



Wystawa sklepu Bergdorf-Goodman, 2017 r.



Wystawa sklepu Bergdorf-Goodman, 2017 r.



Wystawa sklepu Bergdorf-Goodman, 2017 r.



Wystawa sklepu Bergdorf-Goodman, grudzień 2017 r., fot. J. Sokołowska-Gwizdka.



Wystawa sklepu Bergdorf-Goodman, grudzień 2017 r., fot. J. Sokołowska-Gwizdka.



Wystawa sklepu Bergdorf-Goodman, grudzień 2017 r., fot. J. Sokołowska-Gwizdka.



Wystawa sklepu Bergdorf-Goodman, grudzień 2017 r., fot. J. Sokołowska-Gwizdka.



Nowy Jork, dom zapakowany jak prezent, grudzień 2017 r., fot. J. Sokołowska-Gwizdka.



Wystawy inspirowane bajkami Disneya, Saks Fifth Avenue, 2017 r.

Boże Narodzenie w powojennym

Lublinie



Adam Fiala

Perth, Australia

Po ponurym listopadzie samo oczekiwanie było czasem magicznym. Jak z Gałczyńskiego z tym, że zamiast zaczarowanej dorożki była zaczarowana podłoga. Oczywiście w okresie Świąt, bo normalnie tylko się chodziło po drewnianych klepkach. Mieszkaliśmy na parterze dwupiętrowej kamieniczki, ojciec dostał przydział kwaterunkowy. Wybrał parter bo bał się bomb,

zabawne, przecież skończyła się akurat wojna. Był to bardzo zły wybór, bo zimno ciągnęło od piwnic. Utyskiwaliśmy na podłogę, ale święta ją zmieniały.

Najpierw matka wiórkowała metalowymi opiłkami drewniane klepki, potem myła, a następnie pastowała. Właśnie ten zapach pasty i zapach choinkowego igliwia stwarzał święta. Matka harowała jak niewolnica, ale z własnej woli. Uważała, że kobieta powinna zgotować dzieciom i mężowi wspaniałe święta. I tak było. Za oknem wisiał zając i kruszył się na mrozie. Czekała gęś, pluskały się karpie w wannie. Przed samą wigilią matka całą noc piekła ciasto, ucierałem jej ser do sernika oraz robiłem uszka z grzybami do wigilijnej wieczerzy, kiedy się miała zapalić pierwsza gwiazdka. Gwiazdki takiej nie widziałem, niebo było pochmurne, a zmrok wcześnie zapadał.

Ojciec po pracy na poczcie (był dyrektorem na całe województwo lubelskie) spał pod kożuchem, a gdy się obudził zacierał ręce i udzielał mądrych porad matce.

Wydawało się, że powinniśmy mieć relatywnie wysoki standard życia, czytałem, że menadżer poczty w Australii był milionerem. Mieliśmy poziom życia średni, dużo pieniędzy ojciec lokował w znaczkach pocztowych. Ale używaliśmy w okolicach świąt służbowej Simki z kierowcą Czworonogiem, tak się nazywał. Jeździliśmy do Kurowa pod Lublinem na pyszne chłopskie

kiełbasy. Same święta polegały głównie na jedzeniu. Potrafiłem zjeść pół gęsi i wtedy ojciec był wściekły. Nazywaliśmy go *pater familias* ponieważ rządził w rodzinie. W czasie wigilii pierwszy intonował kolędę Bóg się rodzi. Ale ja najbardziej lubiłem tę z takim zwrotem: „A Józef stary, a Józef stary ono pielęgnuje". Śpiewałem wtedy zamiast stary po prostu Stalin, ku zgorszeniu matki. Matka była patriotką, winiła Armię Czerwoną za to, że czekała na Pradze aż się Powstanie w lewobrzeżnej Warszawie wykrwawiło. Ja pamiętam lepszy jeszcze numer od tego starego Józefa. Pewien ludowy rzeźbiarz dostał nagrodę za szopkę, w której zamiast starego Józefa umieścił Stalina w kremowym mundurze *generalissimusa*. Stalin wyglądał jak prawdziwy święty. Anegdotę opowiadał mi wuj Stanisław, ksiądz, bowiem nasza liczna rodzina miała także i księdza. Ale wujek Genek był od początku zagorzałym ateistą, lubił pociągać z butelki. Od świątecznego przejedzenia ratowały mnie wędrówki na nartach po polach i lasach jak się trafił śnieg, a wówczas bardzo często się trafiał i święta były białe jak *White Christmas*.

Rząd z założenia ateistyczny, przymrużał w czasie świąt oko i zamiast Dziadka Mroza, politycznie wówczas „korektnego", był regularny święty Mikołaj. Po Trzech Królach choinka zaczynała się sypać. Jako ciekawostka, utrzymywała się w stojaku, który wykuł artystyczny kowal Kultys, ojciec matki Jadwigi. Kultys był ponoć działaczem politycznym SDKPiL lewica. Babka Bronisława znała dobrze matkę Mariana Buczka, przedwojennego działacza

komunistycznego. Więc od małego byłem trochę lewicowy, ale zarówno matka jak i ksiądz Stanisław zciągali mnie na prawo, tak że zachowywałem równowagę.

Miałem ulubione w roku święta pasujące zresztą do siebie jak pięść do nosa. Myślę o Pierwszym Maju (zawsze w tym dniu było słońce), Bożym Narodzeniu i Wielkanocy. Babka Bronka mawiała: „Wielganoc". Babka znała na pamięć z detalami całą rodzinę ostatniego cara. Te dwa święta, z wyjątkiem pierwszego polegały na odwiedzaniu licznych lubelskich kościołów. Raz były to szopki drugi raz groby. I tak można było też spojrzeć na święto Pierwszego Maja, które dla jednych było szopką, a dla drugich grobem. Mnie zaś bardzo smakowała kiełbasa z bułką, którą można było nabyć z przystrojonej ciężarówki. Uwielbiałem też kukły: radioaktywne muchy na patykach oraz wielką figurę marszałka Tito z zakrwawionym toporem. W ogóle Pierwszy Maj kochał czerwoną farbę. Z pobliskiego KUL-u nikt nigdy nie uczestniczył w manifestacji.

Chodzenie do kościoła KUL-u, był niedaleko od ulicy Weteranów, dało mi intelektualne spojrzenie na religię, które zachowałem do dziś. KUL to był jakby matecznik Jana Pawła Drugiego. Byłem studentem, ale nie spotkałem go wtedy na wykładach. KUL dawał inne spojrzenie, można powiedzieć: pluralistyczne. Skończyłem jednak tylko prawo na UMCS. Na KUL-u zaczynałem historię sztuki oraz psychologię w ramach filozofii jak to się

pisało: chrześcijańskiej. I rzecz ważna: w okresie świątecznym dostawałem mnóstwo kwitków do „Kulowskiej” stołówki od wyjeżdżających do domów kolegów.

W religii pociągało mnie to, że Chrystus zdecydowanie nie był ascetą, lubił zjeść i wypić w bogatych domach.



Dawna pocztówka

Boże Narodzenie w Janaszowie (1939)



Janusz A. Ihnatowicz

Przyjazd

Gdy się na Boże Narodzenie przyjeżdża na wieś, powinien być lekki mróz drżący piórkami szronu w słonecznym powietrzu i

biały wiejski śnieg. I powinno się jechać od kolei sanną dzwoniącą, rozświergotaną płozami, trzaskającą jak lód na stawie, gwiazdkową sanną.

A tu stacyjka tonie w mgłach i mżawce. Pociąg czarny i zachmurzony wlókł się przez opłotki przedmieść, które jesień utrapiona wciąż pokrywa liszajami pleśni i nadgniłych kapuścianych liści; przez pola, co rozłożyły się sine i nieskończone w pomroce szarugi jak zniechęcone sny. Też bez końca. I zatrzymał się postękując nos w nos z betonowym wiaduktem szosy. Dym przytłoczony deszczem opiera się na semaforze zamykającym stacyjkę na klucz. A zresztą jest zmierzch.

Przed dworcem toniemy w błocie ziemi, sieczki i końskiego nawozu. I nie ma wymarzonych sanek lekkich jak puch, nie ma nawet karety, tego pudła tajemniczych wspaniałości w ciemnym wnętrzu pachnącego skorą i pluszem. Jest tylko furman, cztery folwarczne konie i ciężki wóz.

– Roztop taki, powiada, ze niczym innym nie przejedzie.

Tak się rozwiewa sen o przyjeździe w grząskich koleinach przed-dworcowego bagna.

Wóz wypełniony jest sianem: egzotyczna wiejska woń. Owinięty

w szuby i kożuchy od słoty i wilgoci zapadasz się w elastyczną poduszkę, w szeleszczący stóg. Gdy się tak ciężko wspinamy ku wysokościom nasypu szosy, nasz pociąg pisnąwszy gniewliwe raz jeszcze rzuca ku nam łopatę dymu i chowa się pod most. A my już dudnimy po asfalcie przez wieś.

Wieś jest osowiała jak i ten czarny grudniowy przed-wieczór. Odchylone od szosy chałupy plecami oparte o opłotki i sady szarych szkieletów. Okna puste mrokiem jak studnia bez wody. Oślepła wieś spowita w ślepnący dzień. Przed kościołem szeroka przestrzeń napełniona czczością zmierzchu. Tylko dalej między płotami księżego ogrodu odzywa się żałośnie krowa, ołowiana trąba na ostateczny sąd.

A niebo też ołowiane. Wieś za nami. Skrzypią koła. Kopyt mokre miękkie pac pac, to poszumy jak darcie płótna po kałużach. Gołe tarniny wzdłuż drogi to tu to tam wyrastają w zmartwiałą sosnę. Wrony jakby spłoszone klekotem wozu, wzbijają się, czarne krzyżyki, w czerniejące niebo. I zapadasz się wielbłądzie kołysanie sianowego grzbietu.

Gdy się budzisz jest noc i las. Korzenie uderzające raz po raz trach trach. Potem zachrobotały tory kolejowe. Światełko i psy leśniczówki i znów milczenie mokrych sosen. Patrzysz w ciemność nieba i czarniejsze powoli sunące cienie gałęzi. Niebo się chwieje od dziur leśnego traktu jak wielkie wahanie

usypiającego świata.

A potem jest dużo wrzawy w białej sieni. Senna kolacja w wielkiej jadalni, gdzie wiszą obrazy jakichś osób z wąsami i orzeł i pogoń po obu stronach drzwi do kuchni. Na stole długim jak świat, w półmroku jednej lampy o mlecznym kloszu w róże i fiołki, zsiadłe mleko i ziemniaki uwieńczone parą i kwiatami olbrzymich skwarek.

I wielkie łoże z oceaniczną pierzyną odpływające daleko, gdy wiatr śpiewać zaczyna w kominie, a za kominem świerszcz. A gdzieś, hen, na drugim końcu tego dryfowania, czarodziejski kraj – Wigilia i podchoinkowy skarbiec radości.



Dawna pocztówka

Boże Narodzenie na Śląsku i w Kanadzie



Zofia i Florian Śmieja z rodziną przy wigilijnym stole w domu w Missisaudze.

Florian Śmieja

Niewiele mi zostało wspomnień świątecznych z dawnych lat. Na Śląsku te wielkie dni zwane były godami, a bohaterem było Dzieciątko, nie żaden Mikołaj czy anieli. Ono przynosiło prezenty pod choinkę. Prócz karpia czy lina z ziemniakami i kapustą kiszoną bywała u niektórych moczka, koniecznie makówka, potrawa z bułki, maku i mleka. Tradycyjną gorzką zupę siemieniotkę, z siemienia konopnego długo gotowanego i rozgniatanego tłuczkiem, podawano z kaszą gryczaną zabielaną mlekiem. Jej gorzki smak pasował ją na iście postną potrawę i nie lubiłem jej.

W Kanadzie zasiada do wigilijnego stołu tuzin osób w tym Słoweniec, Włoszka i Ukrainka. Wnuki nie znają języka polskiego. Tym niemniej zachował się zwyczaj łamania opłatkiem przed zupą, którą jest zawsze barszcz z uszkami faszerowanymi grzybami. Te uszka są wielkim przysmakiem więc robimy je i w innych okolicznościach. Karpia zastępuje nieraz łosoś. Wśród ciast faworytem jest strucel z makiem. Po Wilii wszyscy śpiewamy kolędy polskie z dodatkiem angielskich.

Na końcu najmłodsza z gromadki gra rolę aniołka i rozdaje podarunki leżące pod choinką.

Plamy na obrusie. Boże Narodzenie w Krakowie i na Florydzie.



Bożena U. Zaremba

Biały (na stół wigilijny nie może przecież być inny), lniany, z przepięknym ręcznym haftem makowskim. To jeden z ulubionych i bardziej hołubionych przeze mnie podarunków od mojej Mamy. „Będziesz miała na amerykańskim stole kawałek Polski”. Poza tym zdobyczny z czasów, kiedy takie skarby musiało się albo wystać w kolejce, albo załatwić. Zasługuje na to, żeby go co roku wypieścić – prać osobno w płynie do białych rzeczy, lekko nakrochmalić, suszyć na wieszaku, broń Boże nie w suszarce. Potem zwilżyć, zwinąć i na chwilę odłożyć. Tęsknię za instytucją magla, ale cóż, nie ma rady, trzeba prasować ręcznie, Zabiera mi

to około godziny – każdy haft powoli i dokładnie obrysowuję żelazkiem.

Plama. Niezbyt zręcznie nalewałam czerwony barszcz. Ale byłam na siebie zła! Próbowałam potem sprać szarym mydłem, traktować wywabiaczem do plam, wybielaczem (niechętnie), ale ślad został. W końcu dałam za wygraną. Czerwone plamy pojawiają się praktycznie co roku, a to z barszczu, a to z buraczków czy brusznicy, które obowiązkowo podaję do kaczki w pierwszy dzień Świąt. Potem są beżowe od kompotu z suszonych śliwek, a może od makowca? Zielone od świeżych gałązek sosnowych ze stroika, jasne, tłuste od świec. Plamki, jak koraliki na sznureczku, opowiadają o tradycjach bożonarodzeniowych naszej rodziny.

Od początku Świąt spędzonych poza krajem starałam się celebrować polskie i rodzinne obrzędy jak najwierniej, choć nie zawsze jest to możliwe. W wielu miejscach, gdzie mieszkaliśmy nieosiągalny był mak albo karp, a mrożony jest przecież zupełnie bez smaku. Pamiętam, jak w Polsce stało się po karpia w kolejce – długo, często na mrozie i wietrze. Przywiozą, czy nie przywiozą? W końcu jest, ale sprzedawczyni od razu uprzedza, że dostawa nieduża. Na jakieś piętnaście osób przed nami zabrakło. „Cholera jasna!" kipi facet przed nami. „Co za banda!" oburza się ktoś inny. A mój Tato? Obrócił się na pięcie i pogodnie zaintonował: „Były rybki, nie ma rybek". Zawsze pogodny i

optymistyczny. Mama była zdecydowanie bardziej napięta. No, bo mimo pomocy domowników, przecież tyle roboty – świąteczne porządki, zakupy i tyle gotowania i pieczenia: makowiec, cwibak, pierniczki. Na szczęście karpiem nie musiała się specjalnie przejmować, bo należał do obowiązków Taty. Jakoś zawsze go „zdobył". Potem wpuszczał do wanny na kilka dni. Raz na jakiś czas trzeba było dolewać wody, żeby dostarczyć świeżą porcję tlenu – ryby tłoczyły się pod kranem i chciwie łapały strumień. Chowałam się, jak szły na szafot….

Brak niektórych potraw zastąpiłam innymi tradycjami, których w moim domu rodzinnym nie było. Wigilię zawsze rozpoczyna gwiazda muzyczna: jazzowa, czarowna interpretacja „Cichej nocy" w wykonaniu tria Andrzeja Jagodzińskiego. Czytanie z Ewangelii o przyjściu na świat Jezusa. Ale nie zawsze musi być powaga. Na przykład do kilku uszek, do farszu, chowam albo orzeszek, albo migdał, na szczęście. Ale radocha, jak się komuś takowy przytrafi! Potem zgadujemy, ile było wszystkich uszek. „91" mówi syn. „Mniej", odpowiadam. „57" mówi córcia. „Więcej" … Wigilijna wieczerza zawsze jest także chwilą podsumowania całego roku. Jakie sukcesy nas spotkały? Co nas wzruszyło, zmartwiło, zachwyciło?





Znowu czerwonawa plama. Może od wina? W moim rodzinnym domu do Wigilii nie pijało się ani wina, ani innego alkoholu, który w ogóle rzadko gościł na stole. Kalifornia, nasz pierwszy przystanek w Ameryce, nauczył nas delektować się winem, które jest przecież częścią liturgii. Tak jak chleb – na naszym stole chałka, co dopiero z pieca wyjęta, błyszcząca i brzuchata! W czasie Wigilii zawsze tak, jak opłatek, łamiemy ją, nigdy kroimy.

Św. Mikołaj przychodził do nas w Polsce 6 grudnia, ale w Wigilię wypatrywałyśmy z siostrą Gwiazdora, zawsze z dreszczykiem

podniecenia, chociaż w czasach, kiedy wszystkiego brakowało, z prezentami było krucho. To często były książki, czasem jakiś kołnierzyk z kordonku zrobiony przez Mamę albo sweter czy szalik przez nas wydziergany. Dostawałyśmy też pomarańcze – w tamtych czasach rarytas. Do dzisiaj pachną dla mnie egzotycznie i noszą w sobie odświętną aurę. Jako dziecko nie mogłam się nadziwić, jak to możliwe, że za każdym razem przegapiłam Gwiazdora. Powiewająca na wietrze firanka i trzepocąca głośno okienna framuga dawały znak, że właśnie był i zostawił pewno pod choinką upominki. Dla naszych dzieci czar wiary w Św. Mikołaja dawno już zniknął, ale urok atmosfery niespodzianki jest zawsze obecny, gdy nagle, w jakiś magiczny sposób pojawia się przy drzwiach worek pełen prezentów.

Ręka boli mnie już od przyciskania żelazka, ale podziwiam finezyjne hafty. Jaka perfekcyjna robota! Przypominają mi się ozdoby na choinkę robione z aptekarską precyzją przez mojego Tatę. Dość wcześnie odszedł od zawodu architekta i właśnie do takich zajęć wykorzystywał swoje wspaniałe zdolności manualne i artystyczne. Z wydmuszek (ale przewracał oczami z zachwytu spijając jajko!) robił główki pajacyków, potem malował flamastrem roześmiane buzie, z gofrowanej bibułki robił misterne kryzy, a z kolorowego papieru różnobarwne czapki. Na czubku zawiązywał sznureczek i takie, jedyne w swoim rodzaju zabawki wieszaliśmy na choince. Po latach bibułka wypłowiała, wydmuszki się wykruszyły, dawno już z nich nic nie zostało. Na

naszej amerykańskiej choince ozdoby własnoręcznie robione w czasach wczesnoszkolnych przez nasze dzieci uzmysławiają nam co roku, jak czas upływa.

Jeszcze ostatni rzut oka, czy nie przeoczyłam jakiegoś miejsca, potem ostrożnie składam obrus tak, żeby hafty nie wypadły na zgięciach. Złożony, wygładzony, wypieszczony chowam – na następny rok.